Nr. 177. Lwów — Niedziela dnia 2 Sierpnia. Rok 1896.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „

Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne" jako to o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, wieczorków i koncertów, wszelkie opisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 20 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo drukiem petitowym po . . . 1
zaś tłustym garmondem po . . . 2
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
ogłoszenie, wiersz petitowy albo jego miejsce 20 ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: Nd. | D. 10 po Św. | N. 10 po Sosz.
Jutro: Pn. | Znal. św. Szk. | Maryi M.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca g. 4 m. 43
Zachód „ „ 7 „ 28

Długość dnia g. 14 m. 45
Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 1 sierpnia.

Sezon martwy postanowiła widocznie prasa niemiecka, zarówno junkierska, jak liberalna pożytkować głównie podżeganiem przeciw Polakom i wmawianiu w ludność niemiecką, że nienawidzieć Polaków jest największą cnotą, pierwszym obowiązkiem patryotycznym każdego prawego Niemca. — Protestancka ludność Niemiec liberalnej i bismarkowskiej prasy już jest dostatecznie wytresowana do tej nienawiści, ale w szeregach katolików niemieckich żyje jeszcze poczucie sprawiedliwości, które nie pozwala im traktować Polaków tak, jakby chcieli epigonowie Bismarka, więc też liberałowie za główny cel tegorocznej kampanii antipolskiej obrali odpowiednie obrobienie katolickich wyborców niemieckich, zohydzenie Polaków w ich oczach, a w dalszej konsekwencyi sprowadzenie zupełnego rozbratu między katolickiem centrum a Kołem polskiem w Berlinie, a może chcą przytem odciągnąć wyborców niemieckich od samego centrum.

Jeden z najbardziej rozpowszechnionych organów liberalnych, *Kölnische Zeitung*, wystąpił z artykułem p. t.: „Das Centrum und die Polen", w którym tendencya ta przebija z każdego niemal wiersza. Ile słów w tym artykule, tyle oszczerstw i niegodnych napaści na nasz naród.

Jako pewnik niezbity, przyjmuje organ koloński to, że wielka ojczyzna niemiecka nie ma bardziej nieubłaganego wroga jak Polaków. I zaraz wyszukał na to taki oto dowód: Podczas ostatniej wojny Prus z Francyą Polacy w Księstwie Poznańskiem i Prusach zachodnich gorzkie łzy wylewali po każdem zwycięstwie oręża niemieckiego, a panie polskie w towarzystwie księży, ubranych... czy zgadłby kto w co ubranych?... oto w czamary i ułanki, pod pozorem niesienia pomocy i pociechy, kokietowały z wrogami króla pruskiego i zamieniały z nimi wyrazy najbardziej sympatycznego współczucia.

Taki naród — rozumuje dalej *Köln. Ztg.* — trzeba zwalczać i tępić na każdym kroku. Tak myśleć i czuć powinien każdy Niemiec zarówno protestant, jak katolik. A byli już katolicy, którzy tak pojmowali swe obowiązki patryotyczne! — woła *Köln. Ztg.* i na dowód opowiada o jakimś urzędniku, nie podając oczywiście ani jego nazwiska, ani miejscowości, w której mieszkał, ani czasu, w którym żył i pracował. — Ten urzędnik niemiecki miał być nie tylko katolikiem z imienia, lecz ultramontaninem czystej krwi, który właśnie za swój ultramontanizm przeniesiony był z zachodnich stron Niemiec do Wielkopolski. Występował jako członek jakiegoś niemieckiego klubu zawsze przed swymi ziomkami jak najenergiczniej przeciwko Polakom, przeciwko ich charakterowi i ich dążeniom. On to zwalczał innych, nawet protestanckich „liberalnych" Niemców, gdy chcieli wystąpić w obronie Polaków. „Nigdy nie widziano — pisze kolońska gazeta — tego katolika tak zirytowanym, jak wtenczas, gdy krótko przed wyborami do parlamentu na pół żartem, na pół seryo odezwano się, że z pewnością będzie wybierał po myśli centrum. „Moi Panowie! — zawołał — widać, że tu jesteście jeszcze nowicyuszami i nie znacie stosunków! Prawda, że w ojczyźnie mojej byłem nie tylko wyborcą, lecz także jednym z najgorliwszych agitatorów stronnictwa centrum. Ale tutaj nie ma centrum i być nie może! Tu istnieją tylko Polacy i Niemcy. Dla Polaka jest katolicyzm tylko rzeczą poboczną, środkiem do celu, tj. do przywrócenia narodowej niepodległości. Członek centrum, który się równocześnie czuje Niemcem, jest mu zupełnie tak samo nienawistnym, jak Niemiec każdego innego kierunku. Dla katolickiego Niemca byłoby to nie tylko zdradą ojczyzny, lecz zdradą religii, gdyby chciał wybierać polskiego katolika!"

Następnie zastanawia się *Kölnische Zeitung* nad tem, jakim sposobem mogło dojść do tak potwornego sojuszu politycznego, jakim jest sojusz niemieckiego centrum z Polakami. Tajemnicę tę wyjaśnia liberalny organ w ten sposób: Sojusz ten pochodzi po części ze starych opozycyjnych nawyknień centrum z czasów welfickich, po części niewątpliwie także ztąd, że wielu członków centrum, a mianowicie prawie wszyscy wyborcy tego stronnictwa nie znają Polaków, a zwłaszcza nie mają pojęcia o istocie i dążnościach polskiego duchowieństwa. Ta okoliczność, to jeszcze jedyna pociecha dla niemieckiego patryoty, łagodząca nieco tę niedającą się zaprzeczyć prawdę, że z drugiej strony niejeden członek centrum, niejeden przywódzca tego stronnictwa, zna Polaków na wylot i właśnie dlatego dba tak bardzo o ich przymierze! Ale jednego nawet ci panowie nie wiedzą, lub przynajmniej nie wyjaśnili sobie dostatecznie: jak wielka jest pogarda, jaką darzą ich właśnie najinteligentniejsi i najlepsi pomiędzy ich polskimi sprzymierzeńcami! Najlepsi: bo prawdziwie narodowo usposobiony mąż szanuje tylko tego, kto swej ojczyźnie oddany jest tak samo wiernie, jak on swojej. Lubi się zdradę, ale pogardza się zdrajcą. Najinteligentniejsi: bo pojmują, że cała korzyść z sojuszu znajduje się po polskiej stronie. Nigdy jeszcze nie szła polska frakcya z centrum z miłości do niego, zawsze tylko własny interes narodowy powodował ją do zgodnego głosowania ze stronnictwem katolickiem. Bo to nie ulega wątpliwości, że niezmierny pożytek moralny i praktyczny wynika dla polskich usiłowań z poparcia centrum, tak samo nad Sprewą, jak niemniej nad Tybrem... Kazimierz Kantak, który był innego temperamentu, aniżeli reszta jego ziomków, bo mimo swego polskiego szowinizmu, nie zrzucił poczciwej skóry swych niemieckich przodków „Kanthaków", wyrzekł niejedno silne i prawdziwe słówko, któreby członkom centrum było szeroko otwarło oczy, gdyby naprawdę wierzyli, że w Polakach posiadają chętnych pomocników. A ks. Stablewski wie także aż nazbyt dobrze, że swoją stolicę biskupią zawdzięcza nie wpływowi różnych swych ziomków na wysokich i najwyższych miejscach, lecz wpływowym członkom centrum. Naszem zdaniem, znajduje się centrum w sprawie polskiej na rozstajnych drogach. Popieranie dążności polonizacyjnych jest spuścizną z owych czasów welfickich, kiedy katolicki naczelny organ mógł głosić, że zadaniem centrum jest przeszkadzać Prusom w trawieniu. Dziś nie stoją już na czele centrum nieprzyjaźni państwu przywódzcy, sprawa welficka stała mu się obojętną, nawet osobiste stosunki z Welfami znacznie ochłódły. Usiłowaniem centrum powinno być obecnie: urządzić się w państwie niemieckiem jak najwygodniej i wyzyskać dla siebie upadek stronnictwa konserwatywnego. Takiemu jednak usiłowaniu może jego antyniemieckie zachowanie się i popieranie wrogich Niemcom Polaków i zwolenników Francyi tylko szkodzić. Ciekawą będzie rzeczą obserwować, czy centrum swoje zachowanie się w niemiecko-narodowych sprawach będzie umiało pogodzić ze swem realno-politycznem dążeniem do zdobycia potęgi".

W ten oto sposób starają się liberałowie wciągnąć i katolików niemieckich do walki przeciw Polakom. Czy im się to uda, nie wiadomo. Bismark i jego sztab widocznie nie żywią nadziei, aby ten manewr odniósł pożądany skutek, bo oto przyboczny organ bismarkowski *Hamburger Nachrichten* poświęcił taką ironiczną uwagę artykułowi *Kölnische Zeitung*:

„Nasz nadreński kolega widocznie przecenia narodowe poczucie centrum, sądząc, że przez udowodnienie, iż Polacy są wrogami państwa, powstrzyma to stronnictwo od ich popierania. Katolikom z centrum nie zależy na utrzymaniu cesarstwa niemieckiego, więc dlaczegożby mieli odwracać się od innych wrogów państwa?"

Wiedzieć, że są takie wylewy nienawiści, nie zawadzi nam, ale martwić się niemi doprawdy nie potrzebujemy.

Potępienie wyprawy Jamesona.

Proces dra Jameson'a, który na czele oddziału ochotników wkroczył w granice rzeczypospolitej transwaalskiej celem wywołania zmian w stosunkach tamtejszych na korzyść ludności angielskiej, skończył się wyrokiem potępiającym. Jameson skazany został na 15 miesięcy więzienia, major Willoughby na 10, inni oficerowie na 7 i 5 miesięcy. Tym sposobem Transwaal otrzymał należyte zadośćuczynienie i rękojmię bezpieczeństwa na przyszłość.

Wprawdzie zaraz po ogłoszeniu wyroku zapowiedziana została apelacya. Ale następne depesze doniosły, że podsądni sami się jej zrzekli i poddali się karze. Widocznem jest, że sami poczuwają się i przyznają do winy. Transwaal tedy nie będzie potrzebował żałować, iż wydał Jameson'a w ręce Anglików. Przytem rząd angielski oczyszczony zostaje z zarzutu wspólnictwa moralnego z napastnikami. Toż samo da się powiedzieć o społeczeństwie angielskiem, którego przedstawiciele zasiadali na ławie sędziów przysięgłych.

Że zresztą był to naprawdę akt zadośćuczynienia, świadczą o tem podstawy prawne wyroku. Nie są one bynajmniej granitowe. Skazanie nastąpiło na mocy prawa z r. 1870 o organizowaniu na terytoryach królowej wypraw zbrojnych przeciw państwom zaprzyjaźnionym. Paragrafy tej ustawy dają się różnie tłómaczyć i sąd, gdyby był chciał, mógł przyjąć wykład przyjazny dla podsądnych. Ustawa ta karze więzieniem do lat dwóch organizatorów i uczestników wypraw samowolnych, lecz sam tytuł ustawy głosi, że ma ona na celu „określenie postępowania poddanych jej królewskiej mości podczas wojny między państwami obcemi, z któremi królowa zachowuje pokój". Jeśli zaś tak jest, to ustawa ta ściśle biorąc, nie stosuje się do dra Jameson'a. Transwaal nie prowadził z nikim wojny i Jameson nie wykroczył przeciw zasadzie neutralności. Litera prawa nie pozwala zastosować go do tego wypadku, w którym pogwałcono granicę państwa, żyjącego w pokoju ze wszystkimi sąsiadami. Sędziowie, którymby nie zależało na uwzględnieniu szczególnych okoliczności politycznych i moralnych, tkwiących w tej sprawie, mogli z czystem sumieniem trzymać się litery prawa i oskarżonych od odpowiedzialności uwolnić. Aby ich skazać, potrzebowali nadać prawu wykład bardzo rozległy i trochę dowolny. Zaś kiedy sędzia rozszerza znaczenie przepisu karnego, jest to dowodem niezbitym, że z tych lub innych przyczyn zależało mu na ukaraniu podsądnych.

Przyczyn tych w danym wypadku było aż nadto. Dr. Jameson bezwarunkowo podlegałby karze, gdyby go sądziły sądy transwaalskie; nie wypadało więc uniewinnić go Anglikom, którym Transwaal dobrowolnie go wydał. Dalej: zły przykład, narażający państwo na zawikłania międzynarodowe, powinien był być skarcony. Nareszcie rząd i społeczność potrzebowały oczyścić się z zarzutu moralnego wspólnictwa z napastnikami. Wszystko to mając na uwadze, sędziowie nie liczyli się zbyt ściśle z brzmieniem ustawy, pogłębili jej ducha i wymierzyli karę. Ale właśnie z tej trochę dowolnej interpretacyi tekstu wypływa jasno intencya zadowolenia Transwaalu i on byłby zbyt wymagającym, gdyby mu ono nie wystarczyło.

Ze skazaniem Jameson'a kończy się ta zawikłana i drażliwa kwestya wyprawy na Johannisburg. Niemniej wszakże zostaje niezałatwiona sprawa „uitlenderów" w Transwaalu. Jest ona w dalszym ciągu równie zaogniona jak była, i rząd transwaalski nie powinien jej trzymać w zawieszeniu. Szczęśliwie poradził sobie z napadem awanturników; ale załatwił przez to tylko kwestyę napadu, a nie sprawę reformy stosunków wewnętrznych w państwie, która jest nagłą z powodu rażąco nierównego podziału praw politycznych między obywatelami pochodzenia holenderskiego i angielskiego.

Znika przyczyna chłodu między Anglią a Niemcami — i to jest dla Europy rzecz nader ważna.

Korespondencye.

Zoppot 27 lipca.

Po uciążliwej, jednostajnej i męczącej podróży pociągami kuryerskimi zaledwie w 32 godzin dobijamy z Podola nad Bałtyk, a opuściwszy poważny, starożytny Gdańsk, po półgodzinnej jeszcze drodze koleją lokalną Gdańsk-Zoppot, nareszcie na skrawku nieba spostrzegamy pas ciemniejszy, szafirowy, nieruchomy. To morze! „Morze!" Okrzyk ten wydany przez pierwszego z podróżnych, który je spostrzegł, działa elektryzująco. Wszyscy wzrok w tę stronę zwracają, tak ci, co pragną wytchnienia i spoczynku nad jego brzegami, jak i ci, co w jego falach, stargane życiem codziennem i troskami nerwy chcą wzmocnić i zahartować! I zdaje się, że nie zawodzą się w swej ufności w jego życiodajne siły, bo z każdym rokiem więcej tu przybyszów, a skromna, nadmorska, przez rybaków głównie zamieszkała wioska Soboty, przez Niemców na Zoppot przezwana, dziś już w rzędzie światowych miejsc kąpielowych stanęła, a choć skromna w swych urządzeniach, lecz dla swego położenia klimatycznego, dla zupełnego bezpieczeństwa terenu podwodnego, a przytem dla wielkiej taniości, z każdym rokiem cieszy się większą sympatyą i sławą. Kto pragnie zabaw w wielkim stylu, kto żądny silnych wrażeń, przepychu, strojów, ten tu nie jedzie, za to dla naszego małego światka, dla dzieci, raj tu prawdziwy! Począwszy już od najwcześniejszego ranka, śpieszą milusińscy nad brzeg morza, na jego piaszczyste ławy nadbrzeżne — prawie każde bose, prawie każde uzbrojone, to w motyczki do kopania piasku i siatki do łapania rybek, to znów w konewczki na muszle i żadne z próżnemi rękami nie wraca, bo rybki niedoświadczone idą łatwowiernie w sieci i powiększają prywatne „akwaria" w szklance, a muszli różnorodnych morze tysiącami przez noc wyrzuca — formalne „ambarras de richesse". Najwybredniejsze mamy przyglądają się też spokojnie, jak ich postrojone malcy w piasku się tarzają, kopią rowy, doły i jak żabki się w nich wygrzewają — *utile cum dulci.* Piasek gruby, przez słońce wygrzany, stanowi zbawienny środek leczniczy, a zarazem jest tak zupełnie czysty, że najjaśniejsze ubranko, strzepane ręką, znowu jako świeże i czyste, może być włożone na promenadę. Wśród milusińskich swoboda i zadowolenie panuje tu ogólnie, a oczęta radością błyszczą.

Lecz i starsi nie są pokrzywdzeni; każdy żyje tu według swego upodobania, dobiera towarzystwo podług gustu, lub też rezygnuje z niego, a poprzestaje z piękną naturą. Ci ostatni obierają też zazwyczaj na mieszkanie wille bezpośrednio nad morzem położone. Z will tych zaledwie parę kroków nad sam brzeg morza, na tak zwany „strand". — Tam można całymi dniami przesiadywać, napawać się widokiem ruchu fal, które od czasu do czasu przerywa spacerowy parowiec lub łódź żaglowa rybaka, powracającego z nocnego połowu. Rybacy tutejsi mają zupełnie odrębną fizyognomię od mieszkańców lądu — zapewne życie pełne trudu i niebezpieczeństwa wybiło na ich rysach jakieś cechy nieugiętej woli, energii i dzikości, właściwej żywiołowi, z którym całe życie przestają i który jest ich dobroczynnym żywicielem, a zarazem najstraszniejszym wrogiem. Dla gości kąpielowych są oni bardzo uprzejmi, i chętnie opowiadają o swych wyprawach, chwalą się zdobyczą lub skarżą, gdy im burza na pełnem morzu przerwie pracę i gdy muszą ratując życie, z niczem do domu powracać. Z wyjątkiem trzech rybaków, którzy mówią po polsku, wszyscy inni Niemcy lub tak zniemczeni, iż ledwie nazwisko i to najczęściej zniemczone wskazuje ich polskie pochodzenie.

W samym środku „strandu" znajduje się Kurhaus — letni pałac w lekkim stylu zbudowany, odbijający żywo od zieleni parku, który mu za tło służy — z widokiem na pomost dla ładowania okrętów, daleko w morze się ciągnący, wieczorem elektrycznie oświetlony i bardzo chętnie jako miejsce do promenady („corso") używany. W Kurhausie dwa razy dziennie przygrywa muzyka, a po obu stronach jego ciągnące się „Collonnady" oszklone i kryte służą w razie niepogody jako miejsce na rendez-vous tutejszych gości — gdzie przy stolikach z nieodłącznem piwem lub sławną niemiecką kawą można przysłuchiwać się muzyce, a równocześnie obserwować ładowanie okrętów. Dopiero za Kurhausem i sąsiednim mu parkiem ciągnie się w górę więcej ożywiona część zakładu z główną ulicą Seestrasse, przy której hotel koło hotelu, restauracye, cukiernie, a wszystko z werandami na ulicę, sklepy z artykułami najbardziej poszukiwanymi jak stroje kąpielowe, przedmioty na podarki z muszli i bursztynu, a że do Copot przyjeżdża dużo dzieci, więc też kupcy nie zaniedbali porozstawiać przed sklepami jak najwięcej pożądanych zabawek, między którymi luksusowe małe okręty z drzewa są prawdziwą pokusą dla malców.

We wszystkich prawie lokalach i sklepach powywieszane karty zachęcają do porozumiewania się po polsku. Polaków też jest tutaj dużo, mowę polską słyszy się na każdym kroku, a główną kolonią Polaków jest tak zwany „Dom polski" — pensyonat p. Kulerskiego. Tam już rzeczywiście nie ma nawet potrzeby znać języka niemieckiego, bo i gospodarstwo i służba i goście wyłącznie tylko po polsku się porozumiewają a zachowanie wszystkich naszych obyczajów i kucharstwa z tradycyjnym barszczem i zrazami z kaszą pozwala zapomnieć o istnieniu jakiejkolwiek innej narodowości. — Komu jednak mowa niemiecka nie sprawia trudności i kto walk i nienawiści plemiennych z życia politycznego nie chce przenosić w to ciche ustronie nadmorskie, ten niech zajrzy do willi „Miramare", a z pewnością już dalej stamtąd nie pójdzie.

Willa Miramare składa się właściwie z trzech domów dwupiętrowych, zbudowanych z elegancyą w ogrodzie, sztucznie, bo na piaskach nadmorskich, założonym, a utrzymanym tak starannie i troskliwie, iż przypomina parki najwspanialszych will angielskich; krzewy winogronowe i róże w pełnym kwiecie, jabłonie i grusze, dźwigające rumiane owoce, każą zapomnieć, iż to kraj już tak daleko ku północy wysunięty. Park ten ciągnie się nad sam brzeg morza, dokąd też furtką w parę sekund dostać się można. Główny budynek, któremu słusznie się nazwa „Miramare" należy, jest tak dale-

6)

K. W. . . . . l.

HALLALI!

(Ze wspomnień myśliwego „par force").

(Ciąg dalszy).

Cała psiarnia „dała głos", ale wkrótce umilkła, bo nie było czasu. Zając znowu znikł z oczu, psy jednak szły po tropie zawzięcie, i ani jeden nie odbił się od reszty. Polowanie zdążało ku lasowi niewielkiemu, położonemu wśród stepu, i zdawało się prawie niechybnem, że w tym lasku zając będzie szukał schronienia. Kilka rowów wcale nie groźnych przebyło całe towarzystwo szczęśliwie, „rudki" po drodze nie było żadnej. Istotnie w lasku zając przysiadł, ale psy doszły go bez ucięcia i ruszyły. Teraz poczęła się gonitwa na oko, bo wytrwałość psów przemogła szybkość zwierza. Trzydzieści psów szło w gromadzie zbitej tak ciasno, iż zdawało się, że możnaby ją obrusem nakryć, tuż za niemi jechał Fowler trąbiąc zawzięcie, a dalej o parę długości konia z tyłu, tylko tyle, aby go nie wyprzedzić, myśliwi, już roznamiętnieni tą pogonią. Wreszcie zając coraz bardziej napierany przez psy, dał „kominka", t. j. skoczył w górę i spadł pomiędzy nie trupem.

— „Hallali!" — krzyknął Fowler, zeskakując z konia i odbijając zająca.

Wypoczęto przez chwilę, napito się wódki, którą niektórzy panowie mieli w manierkach przy siodłach, nadjechały ekwipaże z paniami, które z daleka śledziły przebieg polowania, a nadjechali też chłopcy stajenni na drugich koniach. Niektórzy z myśliwych przesiedli się na świeże i ruszono szukać dalej zwierza.

Bardzo niezadługo pomknął drugi zając i równie jak pierwszy został po długim galopie szczęśliwie wzięty. „Huntsman" zapytał księcia o rozkazy, a dowiedziawszy się, że na ten dzień już polowanie skończone, uderzył w trąbkę i pokazywał psom zająca unosząc go po nad głową, a trzymając za zesztywniałe skoki. Psy oczywiście darły się do niego tak, że zaganiacze harapami odpędzać musieli, nakoniec spuścił go ku ziemi, aby go dosięgnąć mogły, i w jednej chwili zając rozszarpany znikł w paszczach rozwydrzonych psów.

Powrócono potem stępo do folwarku, na którym czekały powozy, a przesiadłszy się na nie, do Krzywina.

Przybywszy do zamku zastali goście herbatę, jeszcze czas jakiś kwitła rozmowa i „flirt", poczem rozeszli się wszyscy, ażeby się przebrać do obiadu. Humory były doskonałe, bo pierwsze tegoroczne polowanie, otwierające porę myśliwską (saison), udało się; to też gwarno było przy obiedzie, na końcu którego przy winie szampańskiem znowu dźwięczał głosik pani Wandy. Zniżyła go nagle i półgłosem powiedziała do Stasia obok niej siedzącego:

— Co on w tej Helenie widzi? patrzy w nią jak w cudowny obraz, widocznie modli się do niej — i wskazała oczyma na Prawdzica, mówiącego półgłosem z panią Heleną. Nic z tego nie będzie.

— A cóż to pani szkodzi?

— Mnie nic, ale nudzi mię ten Prawdzic; na polowaniu jedzie tak, że aż dziwno, iż ma na sobie frak czerwony, a nie kurtkę żokiejską; modli się do tej Heleny, która znowu udaje święty obrazek, a właściwie...

— Ma mu pani za złe, że nie leży u stóp pani tak jak ja i tylu innych.

— Ja? — ten żokiej mnie nudzi, niechajby się zadowolił tem, że jeździ na wyścigach, a nie przybierał jakichś tonów wyższości; czy uważałeś — tu się poprawiła, i dodała „pan" — że mnie zupełnie ignoruje, impertynent.

— Bo pani nie pojmuje, żeby kogokolwiek oprócz pani można widzieć na świecie; i ma pani słuszność mojem zdaniem, bo ja po za panią świata nie widzę.

I popatrzyli sobie w oczy, a spojrzenie było tak wyraziste, że ona zasłoniła się wachlarzem.

IV.

Tak polowano cztery razy w tygodniu, zwykle w poniedziałek, wtorek, czwartek i sobotę; pogoda sprzyjała i polowania udawały się dobrze.

Oczywiście nie obeszło się bez wypadków i zabawnych epizodów.

Prawdzic miał klacz „Molly", która doskonale szła i skakała chętnie; ale gdy ją konie nachodziły z tyłu, wierzgała zapamiętale. W Anglii jest zwyczaj, że na polowaniu jeździec siedzący na wierzgającym koniu, nosi na plecach fraka myśliwskiego albo białą tablicę z napisem „kicks" (wierzga), albo białą podkowę, aby go nie najeżdżano. Prawdzicowi wydało się śmiesznem przyszywać sobie tablicę z angielskim napisem w towarzystwie, którego większość nie władała angielskim językiem, więc jeżdżąc na tej klaczy, miał zawsze na plecach fraka przyfastrygowaną podkowę z białego sukna.

Jeden z sąsiadów księcia zobaczywszy ją, nie chciał jakoś zapytać co ona znaczy, a myślał, że to modne i na następne polowania przyjeżdżał także z białą podkową na plecach fraka. Oczywiście wszyscy uciekali od niego jak od złego ducha.

Po kilku dniach zwróciło to jego uwagę i zapytał Stasia B.:

— Nie rozumiem, co to znaczy, że ci panowie tacy grzeczni przy śniadaniu i przy obiedzie, nie chcą wcale ze mną mówić, jak do którego podjeżdżam na polowaniu.

— Bo siedzisz na wierzgającym koniu.

— Co? moja kobyła? żeby chciała wierzgać, toby nie potrafiła, taka poczciwa.

— A czegoż nosisz podkowę na plecach?

— A, to ma to znaczenie?

Któregoś dnia ruszono zająca, który szedł znakomicie. Nad jakąś „rudką" towarzystwo się rozdzieliło, większa część jeźdźców pojechała na prawo, a pani Helena ze swoim „pilotem" Prawdzicem i kilkoma jeszcze jeźdźcami na lewo. Objeżdżając „rudkę", galopowali przez wąską łączkę, która zdawała się zupełnie bezpieczną.

Nagle koń pani Heleny zapadł przedniemi nogami i wywrócił zupełnego kozła. Ona przeleciała przez głowę jak korek z szampańskiej butelki. „Pilotujący" ją Prawdzic zatrzymał konia na miejscu, zeskoczył, podniósł ją, na szczęście zupełnie nie skaleczoną i nie potłuczoną, ale był tak przestraszony, że nie mógł prawie mówić, a raczej bełkotał coś bez związku. Przekonawszy się, że jej się nic nie stało, wsadził ją napowrót w siodło, a ona prosiła wszystkich obecnych panów, aby broń Boże nie mówili nic jej mężowi o tym wypadku, bo gotówby jej był niepozwolić jeździć dalej na polowania.

I pojechali dalej.

Wyjechawszy na pagórek po czerwonych frakach zoryentowali się gdzie jest polowanie, i dojechali jeszcze do „Hallali".

Wieczorem ubierając panie do obiadu, Julka, panna służąca hrabiny Zofii i panny Mimi, opowiadała, że pan Prawdzic odprowadził panią Helenę aż do drzwi jej pokoju, że przy tych drzwiach coś ze sobą dużo mówili, a potem ją Prawdzic w obie ręce pocałował.

Tegoż dnia już po polowaniu, przyjechała na obiad młodziutka mężatka pani Augusta Z., którą poufale nazywano Gucią. Była to przyjaciółka z pensyonatu panny Mimi, to też wieczór, kiedy się towarzystwo rozeszło, obie przyjaciółki długo ze sobą rozmawiały, a wśród rozmowy padło z ust pani Guci:

— No cóż, jakże ci polowanie idzie?

— Et! nie idzie wcale. Jeżdżę i bawi mnie to, a nawet sprawiłam sobie czerwony fraczek i białą kamizelkę, aby szlachcicom szyku zadawać i nie pozostać w tyle za Wandą i Heleną, ale cóż? „Pilotuje" mnie książę, Staś zadurzony w Wandzie, Prawdzic rozmodlony do Heleny, a Drogosław jakoś do mnie się nie zbliża. Praktycznie rzeczy biorąc, Drogosław majętniejszy i śliczny chłopak, ale nie ma tytułu; Staś ma hrabiowski. Żeby to tak... wyjść za Stasia, albo... Ej! gotowam głupstwo powiedzieć. Jakie wy mężatki jesteście szczęśliwe, że wam wolno wszystko mówić, czego nam pannom właściwie nie wolno myśleć. Prawdzic choć nieutytułowany, byłby także może nie złą partyą, biorąc rzeczy ze strony majątkowej, ale najprzód zupełnie na mnie nie zwraca uwagi, on widzi tylko Helenę, a potem bałabym się go...

— Dlaczego?

— Bo całe życie przepędził z końmi, a kiedyś z jakiegoś romansu czytanego ukradkiem w pensyonacie... podobno Alfonsa Karr, dowiedziałam się, że u wszystkich ludzi, którzy z końmi mają do czynienia, wyrabia się z natury rzeczy despotyzm w charakterze, więc Prawdzica boję się i nie chciałabym za nic...

— No, a Drogosław? pytam raz jeszcze.

— A no, nie wiem; czasem mnie „pilotuje" książę, czasem on, a czasem któryś z tych szlachciców okolicznych, którzy są niesłychanie pocieszni.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ko wysunięty ku morzu, iż z trzech frontów posiada widok na całą zatokę gdańską; widnokręg jego, opierając się z jednej strony na wzgórzach półwyspu „Adlerhorst“ zamyka się z drugiej strony widokiem na port dawniej Gdańska, dziś, kiedy morze się cofnęło, sztucznie z Gdańskiem połączony kanałem pod nazwą Neufahrwasser. Z okien tej Willi ma się tedy widok na całe wybrzeże, na pomost, na kąpiele, a że i Kurhaus niedaleko, więc i muzyka stamtąd dolatuje, powstają jakby duety orkiestry z morzem kiedy melodyjne dźwięki Romanzy z „Mignon“ przygłuszy szmer morza, wypełniając harmonijnie jej przerwy.

Gospodarze willi „Miramare“ posiadający również hotel w Gdańsku, choć Prusacy, nadzwyczaj obydwoje mili i sympatyczni, urządzenie zupełnie nowożytne, a czystość i porządek wzorowe. Jeżeli dodamy do tego świetną kuchnię, którą się sama właścicielka najtroskliwiej zajmuje i która tak co do składu i urozmaicenia „menu“, jak co do wybornego przyrządzenia i podania najwybredniejszym wymaganiom w zupełności odpowiada, to przyznać trzeba, że wszystkie warunki, potrzebne do zdrowia, znajdujemy tu razem w komplecie, a nawet i ten nie mniej ważny warunek, iż ceny są tak przystępne jak w każdym innym pensyonacie, nie wytrzymującym porównania ani co do położenia, ani co do wygody, ani co do świetnej kuchni.

Codzienny program, jak kąpiele morskie, spacery, koncerta, przejażdżki łodzią po morzu, urozmaica się wycieczkami do pobliskich miejscowości nadmorskich, kilkanaście parowców rozmaitych rozmiarów, odpowiednio do drogi, jaką mają przebyć, kursuje codzień z akuratnością pociągów kolejowych. I tak, dla osób lękliwych jest bardzo niedaleki spacer parowcem na Westerplatte, stamtąd kanałem do Gdańska i napowrót — dla żądnych wrażeń silniejszych, są wycieczki dalsze na półwysep Hela i do Pucka. Oprócz tego komitety zabawowe ciągle są czynne i nie ma dnia bez wycieczki morzem z muzyką i oświetleniem elektrycznem lub też spaceru z zabawą kwiatową i t. p, a że klimat tu nadzwyczaj łagodny i zmiana temperatury między dniem a nocą bardzo nieznaczna i pogoda prześliczna i stała i podobno do końca września wytrzymująca, jest więc nadzieja, że nawet ci, co choć spóźnieni w te strony nadciągną, trudów swych nie pożałują, a niejedno miłe wspomnienie wraz z czerstwem zdrowiem w domowe progi przywiozą!

Z Brazylii.

Podajemy niżej list jednego z Lwowian, który — mając w ręku rzemiosło, mogące mu dać pracę w całym świecie, a nadto zaopatrzony w dość znaczne zasoby pieniężne — wyemigrował de Brazylii i osiadł w stanie Parana. List ten powinien być przestrogą dla wszystkich tych, którzy lekkomyślnie opuszczają ziemię rodzinną i wybierają się do Brazylii, gdzie czeka ich tylko niedola.

List ten, pisany do jednego ze znajomych, zamieszczamy w dosłownem brzmieniu:

Kurityba 30 czerwca.

Dziękując za pamięć, donoszę, że mi się powodzi nieźle; na biedę narzekać nie mogę, chociaż bieda w Brazylii panuje powszechnie, a wszystko, co o tutejszym kraju wypisują niektóre pisma, jest skończoną blagą, mającą na celu chyba zachęcenie ludzi do emigracyi. Nigdzie nie ma tak ograniczonego poczucia prawa i wolności osobistej, jak w Brazylii, nigdzie tak niedołężnej administracyi; miejsce wolności zajęła wyuzdana samowola. Szkoda każdego, kto opuszcza kraj, by szukać szczęścia w Brazylii. Lasy i pastwiska, których nasz chłopek tak pożąda, są tu wprawdzie w wielkiej ilości i można je nabyć za bajecznie niską cenę; ale jaka z nich korzyść? Las tutejszy, to nie las europejski, to gąszcz nie do przebycia i tylko węże, jaguary w nim się gnieżdżą. Grunta są nadzwyczaj liche i górzyste, tak, iż rolnicy rzadko gdzie mogą ziemię uprawiać pługiem, tylko muszą motyką; to też kolonista, chociaż ma 30 do 50 morgów gruntu, zaledwie pięć uprawić może. Gospodarstwo rolne prowadzi się w ten sposób, że rolnik wycina parę morgów lasu, spala na miejscu ścięte drzewo i w popiół sadzi ziarnka kukurudzy lub czarnej fasoli, które, gdy nie brak deszczów, wydają plon obfity; trzeba go jednak zaraz sprzedać, inaczej robactwo zje wszystko doszczętnie. Pod drugi siew trzeba znów las ściąć i spalić, gdyż na pierwszym kawałku ziemi bez nawozu nic się już rodzić nie będzie, aż po kilku latach, gdy znów las wyrośnie, a po spaleniu ziemia użyźni się popiołem. Nadmieniam, że drzewa rosną tu niesłychanie szybko, tak, iż po pięciu latach są tak duże, jak u nas zaledwie po 15 lub 20 latach; ale też drzewo jest miękkie i tak przesiąknięte wilgocią, że wysuszyć go zupełnie nigdy nie można, a przy najmniejszej zmianie temperatury kurczy się lub rozpręża, a przez to jako materyał budowlany nie ma prawie żadnej wartości.

Zboża europejskie i kartofle rodzą tu także, lecz wydają plon bardzo lichy, najczęściej przed dojrzeniem ptaki lub robactwo zjadają zboże, a zwłaszcza pszenicę, i rolnik nie zbierze nawet tego, co posiał. W pobliżu Kurityby uprawiają także jarzyny, lecz wymaga to nadzwyczajnej pracy i baczności; nieraz 4 i 5 razy sadzą rolnicy rozsadę kapusty, a przecież nie zawsze doczekają się główki, która tu, mówiąc nawiasem, kosztuje od 500 reisów do milreisa (25 do 50 centów); raz zjedzą mrówki, drugi raz słońce wypali itp.

Nie jest to w ogóle kraj nadający się do kolonizacyi rolniczej, bo ani klimat, ani gleba temu nie sprzyjają. Nadto zła administracya kraju i niesumienność urzędników czynią do reszty pobyt tu niemożliwym. Komunikacyi nie ma prawie żadnej. Kolej przecina tylko bardzo nieznaczną część kraju, dróg kołowych nikt nie buduje, są tylko ścieżki wydeptane przez muły i ze względu na teren górzysty i skalisty dla mułów tylko dostępne. Rzeka Ignassu jest tylko w porze ulewnych deszczów spławną. W rzekach ryb nie ma, różne gady i świnki wodne wyjadają narybek. Wszelkie usiłowania rolników zaprowadzenia racyonalnej gospodarki spełzły na niczem — bo przyrody nikt zwalczyć nie potrafi. Byli tacy, co karczowali drzewa, zorywali ziemię i oczyszczali ją z chwastów, lecz mimo to nie mieli lepszych plonów od tych, którzy sadzili ziarno w dołek zrobiony patykiem na wcale nieporuszonej ziemi.

Cały prawie handel jest w rękach niemieckich; także wielu Polaków wzięło się do kupiectwa, a chociaż są to zwyczajni kramarze, niemający pojęcia o prawdziwym handlu, powodzi się im o tyle, że mają z czego żyć. Z kramarza kupcem chyba nigdy nie będzie, bo jeśli w Europie był czeladnikiem szewskim lub parobkiem, a tu na kramarstwie dorobił się grosza, nie zacznie importować towarów wprost z Europy, lecz jak dotąd, tak i nadal zaopatrywać będzie swój kramik w towary z magazynów niemieckich. Niemcy i Francuzi dają tutejszym kramarzom towary na dziewięcio-miesięczny kredyt, a która fabryka europejska da taki kredyt polskiemu kramarzowi, skoro Niemcy i Francuzi zawładnęli już rynkiem?

Niemcy stoją tu najlepiej pod względem finansowym, znakomicie zorganizowani, idą zwartą masą i dobrze im z tem. Polacy żyją w najzupełniejszem rozłażeniu. Kilku księży polskich, którzy dawniej tu byli osiedli, nie stoją na wysokości kapłańskiego powołania, swarzą się między sobą, polityczą po warcholsku. Oni to wciągnęli naszych do przeszłorocznej rewolucyi, by krew swoją niepotrzebnie przelewali, a że były dwie partye, więc Polacy Polaków rabowali i mordowali. Dopiero niedawno tu przybyły z Galicyi ksiądz Michał Słupek pierwszy stanął śmiało i otwarcie przeciw warcholstwu, waśniom, lekkomyślnemu życiu, a po dość zaciętej walce z przeciwnikami swojem prawem i taktownem postępowaniem zyskał wielkie zaufanie i szacunek biskupa, tudzież ogółu ludności. Przeciwnicy umilkli. Jakim ks. Słupek cieszy się zaufaniem i szacunkiem, dowodzi okoliczność, że gdy proboszcz kurytybski, jako członek senatu, wyjechał na kilka miesięcy na kongres do Rio de Janeiro, biskup zamianował ks. Słupka zastępcą proboszcza na całą Kurytybę. Jest to pierwszy tego rodzaju wypadek, że cudzoziemiec zastępuje proboszcza w stolicy kraju. Zawsze na zastępstwo powoływano Brazylijczyka, nawet z odleglejszych stron, chociaż byli tu zawsze księża polscy. Niestety ksiądz Słupek sam wiele dla naszych rodaków zdziałać nie może, potrzebaby mu dodać do pomocy kilku zdrowych, dobrze myślących i uczciwych księży polskich, a możeby los naszego biednego ludu trochę się poprawił. Na byt materyalny nie będą oni mogli uskarżać się, bo lud zawsze złoży się na przyzwoite utrzymanie dla księdza. Zresztą rozwińcie w kraju agitacyę przeciw emigracyi ludu do Brazylii. Inteligencya nie ma tu co robić, bo nie dostanie żadnego odpowiedniego zajęcia, nauczyciele ludowi tylko w takim razie mogliby dostać zajęcie, gdyby się zdecydowali uczyć dzieci darmo i jeszcze swoim kosztem kupowali dla nich elementarze. Obecnie jest tu trzech nauczycieli bez zajęcia. Chociaż w kraju zbierają już — jak tu sobie opowiadają — pieniądze na gimnazyum polskie w Paranie, to dotychczas nie ma tu jeszcze nawet szkoły normalnej polskiej i nie wiadomo, czy kiedy będzie. Wszystko blaga i nic więcej. Dziwię się tylko optymizmowi Dra Kłobukowskiego, który zobaczywszy kawałek Brazylii w przelocie, wszystkiem jest zachwycony i tem, co widział, i tem, czego nie widział. Podobno bawi on teraz w Argentynie. Przed odjazdem z Parany zamieścił w urzędowej gazecie szereg artykułów, w których przedstawił byt kolonistów w świetle bardzo różowem i tem po prostu wywołał nasze zdumienie.

Ja mam już dość tej Brazylii, widzę, że tu do niczego nie dojdę i myślę nad tem, aby się przenieść do Północnej Ameryki. Na życie pracą wszędzie zarobię, a lepiej żyć w kraju cywilizowanym, niż tak dzikim, zwłaszcza, gdy się ma widoki na przyszłość.

KRONIKA.

Lwów 1 sierpnia.

Odznaczenie. Cesarz nadał radzcy ministeryalnemu w Ministerstwie rolnictwa, p. Leonowi Herzowi, przy sposobności ustąpienia jego ze służby czynnej, tytuł i charakter szefa sekcyi.

Przeniesienie. Namiestnik przeniósł inżyniera p. Władysława Kostkiewicza ze Stanisławowa do Lwowa.

Do Izby lekarskiej wschodnio-galicyjskiej we Lwowie wybrano na następne trzechlecie prezesem dr. Festenburga, wiceprezesem dr. Bylickiego, a członkami Wydziału d-rów Schramma, Piseka i Mukowicza.

Pochwalskiego pendzla portret p. Wł. Czajkowskiego nadszedł na naszą wystawę.

Wiadomości dyecezyalne Archidyecezya lwowska obr. łać. Delegatami Ordynaryatu do Rad szkolnych okręgowych ustanowieni: dla okręgu lwowsko-zamiejskiego ks. Jan Piskorski, dziekan i proboszcz w Śniatynie. Administratorami zamianowani: ks. Antoni Rokosz w Horożance, O. Bernard Krukierek, Dominikanin, w Podkamieniu koło Brodów. Kooperatorami ustanowieni: w Czortkowie O. Fr. Rączkowski, w Podkamieniu koło Brodów, O. Benedykt Prokop Zak. OO Dominikanów, w Rozdole O. Teodor Bajorek zak. OO. Karmelitów. Jurysdykcyę otrzymali: O. Floryan Janocha, prowincyał OO Kapucynów, O. Daniel Magoński, Bernardyn i ks. Maryan Jakubowski neomysta. Konkurs na probostwo w Horożance ogłoszony z terminem do 15 września b. r. Święcenie subdyakonatu dnia 5 lipca z rąk Najprz. ks. biskupa-sufragana a święcenie dyakonatu 12 lipca i presbiteratu 19 lipca z rąk JEks. Najprz. ks. arcybiskupa otrzymali alumni seminaryum dyecez.: Zygm. Bielski, Fryd. Cywiński, Jan Czyrek, Józef Domański, Wal. Dubiel, Kazimierz Dziurzyński, Stanisław Hopek, Maryan Jakubowski, Franc. Janowski, Józef Jarek, Józef Kołodziej, Stefan Koziarz, Józef Kuczyński, Bronisł. Limanowski, Albin Mayer, Tadeusz Muszyński, Ignacy Nadolski, Józef Sanojca, Emil Seretny, Tadeusz Skorny, Michał Struś, Ludwik Szwaiger, Maryan Urba. Stan. Wojnowski, tudzież dyakoni: Adam Gerstman i Cypryan Jurkiewicz, ten ostatni z Zak. OO. Bernardynów. Wizytacyę kanoniczną dekanatu buczackiego rozpocznie Najprz. ks. biskup-sufragan Weber w następującym porządku: 22 sierpnia przyjazd do Maryampola, 23 i 24 w Maryampolu, na noc do Uścia zielonego, 25 w Uściu zielonem, na noc do Monasterzysk, 26 i 27 w Monasterzyskach, na noc do Kowalówki, 28 i 29 w Kowalówce, na noc do Barysza, 30 i 31 w Baryszu, 1 września na noc do Buczacza, 2, 3 i 4 w Buczaczu, na noc do Potoka złotego, 5 w Potoku złotym, na noc do Koropca, 6 w Koropcu.

9.689 osób zwiedziło do wczoraj panoramę Golgoty, która tylko jeszcze do końca sierpnia pozostanie we Lwowie.

Nowa kolej. Przedsiębiorca budowniczy p. Jodkiewicz otrzymał od ministeryum kolei zezwolenie na przedsięwzięcie technicznych robót przedwstępnych do budowy kolei lokalnej z Krakowa przez Czyżyny do Kocmyrzowa z odgałęziem od Czyżyn do Mogiły.

Kraków miał wczoraj burzę z piorunami. Ulewny deszcz trwał blisko pół godziny i przyczynił się nieco do odświeżenia powietrza i chwilowego złagodzenia upałów.

Nowy kościół rzym. kat. poświęcono we wsi Kluwińcach pow. husiatyńskiego a w akcie poświęcenia świątyni wzięli udział także księża ruscy. We wsi tej mieszka 800 dusz rz. kat. obrządku starej, polskiej, ale zubożałej szlachty.

W Szczawnicy bawiło w czasie od 15 maja do 22 lipca 2.563 osób.

Muzyka wojskowa będzie grać w sierpniu: 11 i 28 w Ogrodzie miejskim, 6, 13, 20 i 26 w Stryjskim parku, 7 i 21 na Wysokim Zamku, 4, 14 i 25 przed Namiestnictwem, 5 i 24 przed Komendą wojskową, 12 przed Głównym odwachem.

Strejk na wsi. W majątku Mohylany w powiecie żółkiewskim, dzierżawionym przez p. Włodzimierza Zbrożka, żyto dotąd stoi na pniu, bo ludność wiejska nie chce iść do żniwa. P. Zbrożek zwrócił się do komendy korpuśnej we Lwowie z prośbą o wysłanie wojska do żniw.

Uroczyste zakończenie roku szkolnego urządza w niedzielę oddział św. Stanisława Kostki we Lwowie, sprawujący opiekę nad terminatorami. Program jest następujący: O godzinie 8 rano w kościele OO. Jezuitów nabożeństwo, podczas którego członkowie Oddziału (opiekunowie) i uczniowie terminatorscy przystąpią wspólnie do komunii św. O godzinie 4 po południu zebranie opiekunów, terminatorów i gości zaproszonych w sali gimnastycznej miejskiej szkoły ludowej im. Adama Mickiewicza (ulica Teatralna).

Związek młynarzy w Galicyi na odbytem posiedzeniu zarządu centralnego 26 bm. uchwalił zwołać II zwyczajne walne zgromadzenie członków na 16 sierpnia br. do sali ratuszowej we Lwowie o godzinie 10 rano. Porządek dzienny jest następujący: 1) Sprawozdanie z czynności związku za rok 1895. 2) Sprawozdanie komisyi kontrolującej z rachunków za rok 1895. 3) Wybory w miejsce ustępujących członków do zarządu centralnego i wybór komisyi rewizyjnej na jeden rok. 4) Sprawa utworzenia kasy zapomogowej na wypadek braku zajęcia dla pracowników młynarskich. 5) Sprawa zaprowadzenia kursów fachowych dla kandydatów zawodu młynarskiego przy szkole przemysłowej i uzyskania na ten cel stypendyów z funduszu krajowego. 6) Sprawa uregulowania handlu wyrobami młynarskiemi. 7) Wnioski członków. W przeddzień walnego zgromadzenia odbędzie się poufne zebranie uczestników zjazdu w lokalu Związku.

Jeszcze o tramwaju elektrycznym Dzisiaj byliśmy świadkami małej, lecz niemiłej sceny. Przy kawiarni wiedeńskiej chciał wsiąść do tramwaju pewien mężczyzna w wieku około lat 30. Z pod marynarki jego wyglądały nogi psie. Zoczywszy to, konduktor oświadczył uprzejmie temu panu, iż pasażerowie nie mogą do wozów wprowadzać ze sobą psów. Zirytowany jegomość zawołał donośnym głosem: „Czekajcie, napiszę do... (tu wymienił tytuł znanego radykalnego dziennika) o bezczelności Polaków!“ O słowa te mniejsza, bo w uniesieniu nieraz powie się więcej, niż się czuje i myśli. Ale trzeba sprawę z psami załatwić koniecznie, i to w ten sposób, żeby pasażerowie trzymali pieski (naturalnie małe) na ręku, jeżeli to zaś niemożliwe, to powinien zarząd tramwaju na każdym wozie umieścić tablicę z wyraźnym zakazem. Dotychczas napisów takich nie ma, więc konduktorzy stawiają sami zakazy ustnie, o których podstawności publiczność wątpi.

Pielgrzymka do Lourdes. Komitet urządzający tę pielgrzymkę ogłasza, że jeszcze w pierwszym tygodniu sierpnia przyjmuje ogłoszenia do wzięcia w niej udziału.

Sienkiewicz o „Quo vadis“. Warszawskie *Słowo*, pisząc o ocenie najnowszej powieści Sienkiewicza przez prasę włoską, zamieściło taką uwagę: „Zdaniem archeologów rzymskich, autor popełnił anachronizm, wprowadzając osoby z powieści w czasach Nerona do cmentarza ostriańskiego, który powstał dopiero w III stuleciu“. Z tego powodu nadesłał Henryk Sienkiewicz do *Słowa* list, w którym zarzut ten obala na podstawie dzieła Dom Guéranger'a p. t. *„Ste Cécilie et la Société romaine aux deux premiers siècles* i cytuje z dzieła tego następujący ustęp o cmentarzu Ostrianum:

„Powodzenie, z jakiem nauczał Piotr, wymagało wybrania odpowiedniego miejsca dla celebrowania tajemnic chrześcijańskich — miejsca, które mogłoby być punktem zboru dla żydów i nawróconych pogan — a które nie zwracałoby na siebie zbytniej uwagi. Starożytne *itineraria* (dzienniki z podróży) pielgrzymów rzymskich, oraz pierwsze martyrologowie i inne dokumenta dowodzą, że wybrane zostało w tym celu hypogeum między drogą Nomentańską a Salaryjską, które zwało się cmentarzem Ostrianum. Często nazwy bardziej jeszcze dokładne służą do odróżnienia miejscowości tej od innych cmentarzy, położonych na tych dwóch drogach, jest ona zatem nazywana cmentarzem *„Ubi Petrus baptistabat“* a również cmentarzem *„Ad nymphas Sancti Petri“* albo „źródłem świętego Piotra“. Cmentarz Ostriański (pisze dalej Dom Guéranger) był pierwszem schronieniem pogrzebowem małej gminy chrześcijańskiej, pomnożonej przez Piotra. Fontanna, taka jakich wiele znajduje się w świeżo odkrytych katakumbach, służyła do udzielania chrztu“.

„Tu więc była założona, skromna w swym majestacie główna kazalnica Namiestnika Chrystusowego. Otaczał ją najwyższy szacunek i ten, który był powołany do następstwa po założycielu Kościoła, musiał zająć ją jak najsolenniej, aby przez ów znak widomy okazać, że nauka jego jest taką samą, jaką była jego poprzednika“.

A dalej Dom Guéranger pisze tak:

„Kazalnica św. Piotra, założona na cmentarzu Ostrianum, była czczona aż do czasów św. Grzegorza Wielkiego, jako pomnik pierwszej bytności Piotra w Rzymie. Na cześć jej paliły się lampy, na liście zaś świętych olejów, przysłanych przez św. Grzegorza królowej Teodolindzie, która jest zarazem listą sanktuaryów rzymskich, zredagowanych przez presbytra Jana, na papyrusie, zachowanym dotąd w Monzy, czytamy następne słowa: *„oleum de sede (ostrianum) ubi prius sedit Sanctus Petrus“*. Cześć dla tej pierwszej kazalnicy była w Kościele katolickim tak wielka, iż ustanowiono specyalne święto 18 stycznia. Święto to, po zniknięciu kazalnicy upadło, lecz Paweł IV wznowił je z całą dawną świetnością w r. 1558“.

„Oto, — kończy Sienkiewicz list swój — co o Ostrianum mówią nie tylko archeologowie i stare, papyrusowe dokumenta ale co mniema o tej miejscowości sam Kościół rzymski. Na tem poprzestaję, sądzę bowiem, że jako powieściopisarz, mam prawo na tem poprzestać. Chodziło mi też tylko o przekonanie czytelników *„Quo vadis“*, jak dalece nawet najdrobniejsze szczegóły pracy mej mogą być poparte dowodami i jak sama praca była sumienną. Mam też nadzieję, że pisarze powieści historycznych nie z lżejszem sercem będą obrabiali swój przedmiot“.

Ze Zbaraża piszą nam: Zmarł tu 29 lipca Julian Opolski. Był on dwa sześciolecia burmistrzem i położył wielkie zasługi w życiu autonomicznem miasteczka Zbaraża. To też Rada miasta, chcąc uczcić zmarłego, wzięła udział w pogrzebie i złożyła wieniec na trumnę, a podczas pochodu pogrzebowego zaświecono latarnie. Zmarły był bratem znanego i cenionego lekarza Opolskiego we Lwowie. (Wiadomość we wczorajszym numerze *Przeglądu* jakoby w Stryju zmarł notaryusz Edmund Opolski, była mylną. Umarł właśnie Julian. *Przyp. Red.*)

Epilog krakowskich strejków. Z Krakowa donoszą, iż policya tamtejsza aresztowała tymi dniami trzech murarzy, którzy woleli dalej podburzać i jątrzyć kolegów, aniżeli powrócić do pracy. Trójka ta, zbrojna w kije, utworzyła na Czarnej Wsi, tuż przy rogatce, posterunek. Jeżeli jaki robotnik, idąc z za rogatki, śpieszył do pracy do miasta, wstrzymywano go, zachęcano do dalszej bastówki, a gdy słowa nie pomagały, wówczas tych, którzy chcieli zapracować uczciwie na kawałek chleba, okładano niemiłosiernie kijami; dwóch opornych wrzucili agitatorowie do wody. Także w innych stronach miasta miały zachodzić podobne sceny, stąd też niebawem będą sądownie roztrzygane oskarżenia o kilkanaście gwałtów publicznych. Tak to postępują robotnicy względem siebie. Usprawiedliwionem jest chyba tedy nasze twierdzenie niedawne, iż jeżeli stolarze lwowscy nie zniosą powziętej w ubiegłą niedzielę uchwały o karach za złamanie solidarności, — życie i zdrowie robotników będzie tak samo zagrożone, jak to się działo w Krakowie. Zalecamy więc robotnikom naszym jak najwięcej ostrożności i taktu, by nie krzywdzić, ale wspierać się wzajemnie.

Pożary. W Uściu zielonem, w pow. buczackim, zgorzało onegdaj około 60 domów, między tymi: urząd gminny, koszary żandarmeryi, oba starostwa rk. i gk., dzwonnica cerkwi, dach na kościele itd. Mnóstwo ludzi pozostało bez dachu i bez chleba.

Groźny pożar powstał w fabryce nafty w Chorkówce w pow. krośnieńskim. Spaliła się kotlarnia i

Z wycieczki na jubileuszową wystawę.

II.

Budapeszt, w lipcu.

Czy za rządów Bacha znajomość języka niemieckiego rozpowszechniła się istotnie w Węgrzech? — z własnego doświadczenia nie wiemy. Obecnie, pominąwszy miasta graniczne, jak Preszburg i Oedenburg, gdzie słychać częściej język niemiecki nawet w warstwach wykształconych, dobitnie zaznacza się jego nieznajomość, zwłaszcza wśród pokolenia młodszego. W Ostrzyhomiu oglądając sławną katedrę, zapytaliśmy się już starszego kleryka, co przedstawia jeden z posągów przed kościołem? Zakłopotany kleryk przepraszał, że nie umie po niemiecku i dopiero za pomocą łaciny udało się nam skonstatować, że to posąg św. Władysława. Przedtem młody wojskowy jednoroczny o dwóch już gwiazdkach na kołnierzu, na zapytanie o pałac prymasa, bardzo grzecznie odpowiedział długim frazesem madziarskim, że nie umie po niemiecku. Tutaj w stolicy na 10 konduktorów tramwajów i na 10 konstablerów, zaledwie jeden zdoła odpowiedzieć po niemiecku. Trudno przypuścić, aby pomiędzy wysłużonymi podoficerami, którzy otrzymują posady konstablerów, nie znajdowała się dostateczna liczba władających językiem niemieckim. Widocznie zarząd miejski, przez pewną kokieteryę wyłączności narodowej, do brygady konstablerów przyjmuje najchętniej takich aspirantów, którzy mówią tylko po madziarsku. Podobną przesadną kokieteryę tłomaczę sobie, że na pierwszej stacyi hiszpańskiej za granicą francuską, w Irunie, przed 11 laty, zastałem kasyera kolejowego, nie umiejącego ani słowa po francusku, chociaż niezawodnie pomiędzy urzędnikami kolei hiszpańskich znajduje się dosyć takich, którzy mówią po francusku i których zatem należałoby dla wygody pasażerów wysłać do stacyi granicznych.

Obok licznych osób, które istotnie nie władają językiem niemieckim, są i tacy, którzy udają nieznajomość. W jednym z pałacyków grupy historycznej, przy stoliku z katalogami, fotografiami, etc. siedzi okazała panna. Gdy ją zapytałem po niemiecku, kiedy wyjdzie niemiecki katalog, z zabawną afektacyą odpowiedziała, że nie rozumie po niemiecku, chociaż z tonu odpowiedzi niemieckiej łatwo było domyśleć się, że umie dobrze po niemiecku. Zabawiony tą dumą neo-madziarki, zacząłem mówić po francusku, na co już nie z tryumfującą, lecz zawstydzoną miną odparła, że nie umie po francusku. Wtrąciwszy potem zdanie po polsku, rzekłem znowu po niemiecku: „Moja panienko, rozumiem sześć języków, ale byłbym bardzo kontent, gdybym umiał także po madziarsku!“ Może po tej nauczce owa panna nie będzie już tak dumnie popisywała się nieznajomością obcych języków. Jakoż dyrekcya wystawy, chociaż popełniła gruby błąd, umieszczając wyłącznie napisy madziarskie, co zwłaszcza studyum wystawy historycznej czyniło wprost niemożliwem, ostatecznie uznała konieczność pewnych ustępstw dla zagranicznych gości, więc teraz, bardzo zwolna, zjawiają się urzędowe katalogi niemieckie i francuskie. Zapraszać tak uroczyście wszystkie narody na Wystawę, a potem zrażać gości wyłącznie madziarskiemi napisami, było niezawodnie brakiem taktu, a oprócz różnych napisów, należało na Wystawie umieścić personal, ile możności władający kilku językami.

Po za Wystawą i jej praktycznemi potrzebami, kwestya językowa przedstawia się inaczej. Cesarz Karol II powiedział, że człowiek podwaja się z każdym językiem, którego się poduczy. Aforyzm ten ulega jednak ważnym zastrzeżeniom. Francuz dzięki tradycyjnemu wstrętowi do obcych języków, swoim własnym włada tak wybornie, że często ze słowami, płynącemi tak łatwo z ust, przychodzą mu myśli, gdy ludzie, zmuszeni za młodu uczyć się kilku języków i posługiwać się niemi, często dla swych myśli dobierają dopiero słowa. Pomimo wszelkich wygód, jakich w praktyce dostarcza znajomość języków, zasadnicza dwujęzyczność jest wadą, a główną podstawę wychowania powinien tworzyć tylko język narodowy. Z tego punktu widzenia wyzwolenie się Madziarów z pod narzucanej im dawniej niemczyzny stanowi niezawodnie pożyteczny i konieczny warunek intensywnego rozwoju ducha narodowego.

Nasuwa się oczywiście pytanie, o ile ten proces wypierania niemczyzny z Węgier oddziałał na polityczne stosunki? Należałoby przypuścić, że z chwilą upadku germanizacyi, a więc zwłaszcza od r. 1867, mógł i powinien był ustać tutaj wszelki polityczny antagonizm do Austryi. Zdaje się jednak, że dotąd tylko wybitni mężowie polityczni za przykładem Andrassego i Deaka zupełnie pojęli tę naturalną konsekwencyę ugody r. 1867, gdy w szerszych kołach dotąd ciągle oddziaływa stary antagonizm. Mówią, że nie ma tak głębokiej otchłani, którejby nie zdołała zapełnić mądra polityka. Ale w praktyce widzimy wszędzie, że krzywdy, wyrządzone narodowi, nagromadzają zasób żalu, niechęci i nienawiści, z którego potem żywią się całe pokolenia i którego najzręczniejsza dyplomacya nie zdoła nagle wykorzenić. Niezawodnie po części świeże agitacye niemieckie przeciwko jubileuszowi ożywiły tutaj dawną niechęć, że jednak nie wygasła nigdy, o tem przekonaliśmy się na dawniejszych wycieczkach do Węgier. Zaznaczamy to *sine ire et studio*, bo jeżeli czasem kto z nas, posługując się językiem niemieckim, naraża się tutaj, nie mówię, na przykrość, ale na chłód, natychmiast sytuacya zmienia się radykalnie, skoro Węgier w gościu poznał Polaka. Jesteśmy najwierniejszymi sprzymierzeńcami Austryi, ale Węgrzy ściśle rozróżniają w Austryi pomiędzy Polakami a... innymi.

Co do stosunku narodu do dynastyi, który na tle obchodów jubileuszowych ukazał się w świetle dodatnim, to jeden z wybitnych członków Sejmu węgierskiego zapewniał nas, że prąd dynastyczny i rojalistyczny ogarnia cały naród węgierski, któremu całkiem obce są wszelkie republikańskie dążności na wzór francuskich. Różne objawy z potocznego życia zdają się stwierdzać prawdę tego zdania. I tak świeżo w głównej sali tak zwanego pałacu renesansu (wystawa historyczna) ustawiono sporządzony niedawno nowy tron cesarski, którego po raz pierwszy użyto na uroczystem zebraniu w pałacu królewskim 6 czerwca r. b. Na estradzie tych stopni, okrytych pąsowym aksamitem, stoją obok siebie dwa fotele tronowe pąsowe o złotych poręczach. Nad tronem wznosi się wykwintny złoty baldachim. Gęste tłumy ciągle oglądają z ciekawością i rozrzewnieniem tron „swego“ króla. A daleko od Wystawy, na przeciwnym krańcu miasta, w pałacu królewskim na wzgórzu Budy nie mniej gęste tłumy korzystają z pozwolenia zwiedzania w nieobecności pary cesarskiej pokojów królewskich. W innych stolicach, zwłaszcza w Wiedniu, niemal wyłącznie turyści oglądają pokoje cesarskie, względnie królewskie. Tutaj przeważnie lud, zwłaszcza goście z prowincyi, śpieszą do Zamku.

Wracając do Wystawy, te same osoby, które tak długo stały przed tronem królewskim, widzimy z równem zajęciem zapełniające salę, która mieści zabytki z wojny r. 1848-go, mundury i broń honwedów, portrety wodzów, listy Kossutha i Goergieja i t. d. Zadziwiająca sprzeczność, która po części tłomaczy się tem, że według tradycyi węgierskiej owa wojna wybuchła w obronie konstytucyi i koronowanego króla (Ferdynanda) przeciwko kamaryli, a może jeszcze lepiej głęboko zakorzenioną w narodowym duchu fikcyą „prawa powstania“, — owego *jus insurrectionis*, które wyraźnie zabezpieczały dawne konstytucye węgierskie. Bądź co bądź, nie ulega wątpliwości, że teraźniejsza para cesarska w Węgrzech cieszy się najgorętszem przywiązaniem i zaufaniem, a tylko zmiana tronu mogłaby ewentualnie wywołać nowe nieporozumienia.

Tymczasem wystarczy rzut oka na drugi peryod dziejów węgierskich, od roku 1301 do 1526, aby zrozumieć, jak wielką szkodę krajowi przynoszą nieustalone stosunki dynastyczne. Pomiędzy królami elekcyjnymi, którzy w tym okresie panowali na Węgrzech, znajdowali się mężowie bardzo wybitni, jak Karol Robert i Ludwik, który w Węgrzech zasłużył sobie rzeczywiście na przydomek Wielkiego, jak odważny Władysław Warneńczyk, dzielny wojownik a zarazem troskliwy o rozwój oświaty Maciej Korwin, ożywieni najszlachetniejszymi zamiarami Jagiellończycy Władysław II i Ludwik II. Nie zdołali jednak zabezpieczyć trwale potęgi i dobrobytu kraju. Ze świetnemi zwycięstwami wojennemi i pozornym blaskiem graniczą o miedzę złowrogie katastrofy i oznaki upadku. Był to okres nieustannych wojen, przerywanych rzadkimi rozejmami raczej, niż epizodami zabezpieczonego pokoju. To też w zbiorach historycznych z tego okresu najwięcej miejsca zabiera broń; kilka sal, odtworzonych według wzorów różnych starych zamków węgierskich, zapełniają szyszaki, hełmy, pancerze, rusznice, chorągwie, pałasze, dzidy, sztylety, miecze, ostrogi, siodła itd. Tych pamiątek wojennej przeszłości zachowało się tyle, że tworzą ogromny arsenał.

Sala dziesiąta mieści zabytki z czasów dwóch królów z rodu andegaweńskiego: Karola Roberta i Ludwika W. Wytworna robotą zwraca na siebie uwagę trumna św. Simeona z pozłacanego srebra o bogatych rzeźbach, utworzona w r. 1388 z polecenia królowej Elżbiety przez mistrza Franciszka z Medyolanu. Trumna ta znajduje się w Zadarze, tu widzimy jej reprodukcyę galwanoplastyczną. Obok w witrynach znajduje się ciekawy relikwiarz św. Władysława, reprodukcya przechowanych w Akwizgranie polskich i węgierskich herbów Ludwika W., odlewy pieczęci, liczne mszały i brewiarze. Inne witryny zawierają dokumenta, a pomiędzy nimi prawo Ludwika W. z roku 1351, traktat Ludwika W. z Karolem czeskim z roku 1353, traktat tegoż króla z r. 1364.

Zabytki z czasów panowania króla Macieja, uważanego jako wiek złoty dziejów węgierskich, zawiera sala XI. Najkosztowniejszym przedmiotem tej sali jest nadesłane ze skarbca prymaryalnego w Ostrzyhomiu i zabezpieczona na milion florenów Kalwarya króla Macieja. Górna jej część przedstawia Golgotę obok ukrzyżowanego Zbawiciela stoją Marya i Jan; środkową część, dorobiona później w stylu odrodzenia, tworzy emaliowany wazon z motywami mitologicznemi, u podnóża trzy sfinkse trzymają herb króla Macieja. Liczne drogie kamienie i perły zdobią tło szczerozłotej Kalwaryi.

Dwie witryny tej sali zawierają zabytki z sławnej biblioteki Macieja, tak zwanej „Korwiny“. Z polecenia troskliwego o rozwój oświaty króla cały legion sekretarzy w bibliotekach włoskich przepisywał najważniejsze rękopisy starożytne. Ubarwione przedziwnemi miniaturami marginesowemi i oprawione bogato, odpisy te złożyły się na poważną bibliotekę, której część dostała się do Wiednia, inna do Monachium, gdy główna znajduje się dotąd w Carogrodzie. Pomiędzy wystawionemi w sali Macieja rękopisami znajdują się adresy Eneidy, Quintiliana, Liviusza, Plutarcha, „Polityki“ Arystotelesa, dwóch księg Tacyta dzieła św. Atanazego i Bernarda z Clairvaux, Tomasza z Aquino, listów Pliniusza, dzieła Seneki o dobrodziejstwach i t. d.

Sala XIV wyobraża dokładnie bibliotekę średniowieczną. Grube folianty, po większej części treści teologicznej, nadesłane z różnych księgozbiorów kościelnych i prywatnych, są łańcuchami przywiązane do wysokich dębowych pulpitów. W kilku witrynach i tutaj znajdują się dzieła z biblioteki króla Macieja, mianowicie pergaminowy rękopis „Boskiej komedyi“ Dantego z miniaturami, tudzież pergaminowy rękopis z 16-tego stulecia kroniki arcybiskupów gnieźnieńskich Długosza, nadesłany z biblioteki hr. Zamoyskiego w Warszawie.

W ogóle oprócz broni, cennych manuskryptów i kosztownych mszałów arcybiskupstwa ostrzyhomskiego, kilkunastu dokumentów,

jeden budynek destylarny. Pożar powstał wskutek pęknięcia rurki przewodniej. Szkody znaczne, lecz ubezpieczone w krakowskiem Towarzystwie ogniowem. Ratunek był bardzo utrudniony, mimo tego nie dopuszczono ognia do składów z naftą i benzyną i do budynków mieszkalnych.

Donoszą także o znacznym pożarze w Nowosiółce Jazłowieckiej w powiecie buczackim, lecz bliższych szczegółów na razie jeszcze nie ma.

Wieś Ostrów, należąca do hr. Baworowskiego, zgorzała onegdaj w znacznej części. Dzięki energicznej pomocy tarnopolskiej straży ogniowej udało się resztę wsi od zniszczenia ocalić. Straty są znaczne.

„Goplana“, opera Żeleńskiego, będzie wystawioną w Krakowie nie pięć, ale sześć razy, a to wskutek ogromnego powodzenia, jakiem się dotychczas to nowe dzieło muzyczne cieszyło. Piąte przedstawienie odbędzie się dzisiaj, a szóste jutro, tj. w niedzielę.

Mała Panama. Przy obrachunku kasy miejskiej w Paryżu pokazało się, że brakuje małej sumy, bo tylko 72 milionów franków. Odkrycie to wywołało wielkie oburzenie w całej Francyi. Podobno będzie proces. Najbardziej winnym jest jakoby Pubelle, były prefekt Sekwany.

Szwadron konnicy w areszcie. Na skargę wniesioną do jeneralnej komendy wojskowej w Poznaniu, zasądzono cały szwadron dragonów w Gnieźnie na 4 tygodnie aresztu w koszarach. Powodem do skargi była zuchwałość dragonów, którzy napadali po ulicach z dobytemi szablami na ludzi i toczyli bójki między sobą

Kości szwedzkich żołnierzy. W Krakowie przy kopaniu kanału w ulicy św. Sebastyana znaleziono wiele kości i czaszek ludzkich, które prawdopodobnie są szczątkami żołnierzy z obozu Karola Gustawa, zdobywającego w r. 1655 Kraków. Obóz mieścił się mianowicie na łące, rozciągającej się na obszarze obejmującym dzisiaj część od Stradomia aż do ul. Starowiślnej. Nasi bronili dzielnie miasta, zamku i kościoła OO. Bernardynów, do którego Szwedzi strzelali Szwedów padło wielu, a ponieważ nie było cmentarza, zwłoki poległych pochowano niedaleko obozowiska.

Carska para przybyła dnia 29 zm. na wystawę niżno-nowgorodzką. Na dworcu kolejowym powitali ją dostojnicy państwowi z gubernatorem Baranowem na czele. W pobliżu salonu carskiego ustawiła się honorowa straż wojskowa ze sztandarem i orkiestrą Muzyka zagrała, a car — podziękowawszy dygnitarzom za przyjęcie — wsiadł z carową do powozu i pojechał ku miastu. Miasto było pięknie przystrojone. Po drodze witało parę carską duchowieństwo z chorągwiami i krzyżami, oraz liczne tłumy. W soborze po drodze zmówili carstwo modlitwy i odwiedzili grobowce Minina, książąt niżegrodzkich i suzdalskich. Następnie udała się carska para do pałacu, gdzie po śniadaniu car przyjmował kilka deputacyi, niosących mu chleb i sól. Po południu — mimo ulewy i gradu — pojechał car z carową na wystawę, a przyjęcie urzędowe było również okazałe. Carstwo z zajęciem oglądali tkaniny, oddział rzemieślniczy i górniczy, oddział sztuki, oddział etnograficzny „dalekiej Północy“, poczem pożegnani wesołymi okrzykami tłumów odjechali do pałacu.

Wylew w Japonii. Wedle ostatnich danych urzędowych, straszny wylew, który się zdarzył w Japonii dnia 15 czerwca r. b. kosztował życie 37.000 ludzi. Fala morska podniosła się w pobliżu Sendar, pomiędzy Tokio a wyspą Yesso i zalała trzy powiaty. W mieście Kamaishi, w pobliżu kopalni żelaza tego nazwiska, zginęli prawie wszyscy mieszkańcy w liczbie 6.000 osób. W powiecie Iwate — około 25.043 osób zabitych i 1.244 rannych i 4.000 domów zniszczonych; w powiecie Miyagi, zginęło 3.103 osób i zniszczonych zostało 973 domów; w powiecie Aomari, leżącej na północno-wschód głównej wyspy, gdzie mało jest portów, zginęło tylko 300 osób. Te olbrzymie straty w ludziach tłómaczą się tem, że katastrofa zaszła wieczorem. Japończycy, zwłaszcza po wsiach, kładą się bardzo wcześnie, wstając do roboty ze świtem. Gdy zatem wylew nastąpił o 8, wszyscy pogrążeni byli w śnie, wśród którego śmierć zaskoczyła wielu, zanim zdążyli szukać ratunku. Mieszkańcy pozostali przy życiu w nawiedzonych okolicach, przymierają głodem, żywią się rybą śniętą, na ląd wyrzuconą. Przyległe prowincye nadsyłają im zapasy ryżu. Fala, która tak olbrzymie straty zrządziła wzdłuż wybrzeży, na pełnem morzu była zaledwie odczutą przez okręty. Wielu rybaków powróciło zdrowo i cało na swych wątłych łodziach, lecz nie zastało już swych rodzin.

Trąd w Prusiech. Korespondent berliński do *Standarda* pisze: Fakty wykazują, że trąd szerzy się coraz bardziej w Prusiech wschodnich w okolicy Kłajpedy. Niektórzy nieszczęśliwi, dotknięci tą chorobą, są jeszcze bardzo młodzi. Cyfry urzędowe, ogłaszane od czasu do czasu, nie wykazują rzeczywistej liczby chorych, bo tę trudno sprawdzić. Pewnem jest jednak, że liczba ta jest o wiele większą od wykazywanej w biuletynach urzędowych

Niefortunnej wycieczki balonem dokonało w tych dniach grono aeronautów w Brukseli. W dniu 23-im bm. aeronauta francuski Capazza miał wypróbować przyrządy swego pomysłu w balonie „Camille“. W łódce, oprócz organizatora wyprawy, zajęli miejsca: profesor uniwersytetu brukselskiego, słynny geograf, Elizeusz Réclus i adwokat Picard. Powietrze było spokojne, balon powoli wzniósł się na wysokość 700 metrów. Nagle zaczął spadać z przerażającą szybkością i otarł się o dachy teatru „Monnaie“ i ratusza. Capazza, aby zapobiedz niebezpieczeństwu, zaczął wyrzucać balast i obcinać liny. Balon znów poleciał w górę na wysokość 1100 metrów, ale po chwili znów spadł i zawisł na wierzchołku drzewa, na wysokości 20 metrów nad ziemią. Mieszkańcy okoliczni pośpieszyli na pomoc. Réclus i Picard, trzymając się lin, toporami starali się odciąć łódkę, Capazza zaś z całych sił pociągał za sznur od klapy. Picarda i Réclusa wydobyto z pod łódki nawpół uduszonych. Capazza wyszedł z przygody cało.

Zmiany w Rosyi. Nowy car powoli, ale konsekwentnie obsadza najwyższe posterunki nowymi ludźmi. Od chwili objęcia rządów wprowadził on: ks. Łobanowa na urząd ministra spraw zagranicznych, Geremykina na urząd ministra spraw wewnętrznych, ks. Chylkowa zrobił ministrem komunikacyi, Murawiewa ministrem sprawiedliwości, obecnie zaś obsadził dwa najwyższe posterunki marynarskie, tj. ministra marynarki i szefa jeneralnego sztabu marynarki. Ministrem został wiceadmirał Tyrtow, a szefem sztabu wiceadmirał Avellan, dotychczasowy komendant eskadry na morzu Śródziemnem, znany z odwiedzin marynarzy rosyjskich we Francyi. Tyrtow ma obecnie lat 60 i pochodzi z rodziny, której członkowie od kilku wieków poświęcali się zawodowi marynarskiemu. Już w roku 1702 jeden z Tyrtowów piastował godność admirała, dowodził eskadrą na jeziorze Ładoga i pobił flotę szwedzką pod wodzą admirała Nummera. Obecny minister spędził kilkanaście lat na dalekich podróżach, włada wybornie kilkoma językami i zwrócił na siebie uwagę obszerną rozprawą o potrzebie powiększenia floty rosyjskiej Przez trzy lata stał on na czele oddziału budowy okrętów i jemu to głównie przypisać należy gorączkowy pośpiech, z jakim Rosya w tym czasie budowała nowe pancerniki.

Avellan jest o trzy lata młodszy od Tyrtowa i z pochodzenia jest Finlandczykiem.

Zmarli. Antonina z Porayów Zbrożków Zbrożkowa, właścicielka dóbr w Wierzbiążu.

Stan powietrza. T. o 9 rano + 18 R, w poł. + 26 R. Bar. 762. Nieruchomy. Pogoda.

Zjechało dwóch do oberży Jeden z nich woła na chłopca:

— Daj obiad na dwie osoby.

— Dobrze panie!

— I każ napalić w piecu, bo zimno

A chłopiec na to:

— A w piecu na ile osób napalić, czy także na dwie?

Rozwiązanie szarady zamieszczonej w nrze 174 *Przeglądu* brzmi: Syrokomla. Trafne rozwiązania nadesłali: Jaworczykowski z Tarnopola, Stanisław de Baczyński z Körösmező, Klotylda Waśniewska z Kamionki strum., Bronisława Gałkowa z Rzeszowa, J. Skrzyńska z Rzeszowa, Szecherówny ze Stryja, Zygmunt Kudelka z Bóbrki, Antonina Dzieduszycka i Marya Bielska z Jezupola, Celina Walkowska z Glińska, Wł. Rembacz ze Stanisławowa, Helena Ziemiańska z Przemyśla, Klementyna Winiarska z Pilzna, Franciszek Wendeker z Sieniawy, S. Kosanowska z Żółkwi, Stefania Szelińska z Bursztyna, C. Górski z Sokala, W. Linhardt i Blanka Eckhardt ze Stanisławowa, J. Jung z Brzeżan, Malwina Fiderer z Husiatyna, Jadwiga Niedźwiedź i Marya Birkiewicz z Wojniłowa, Bł. Kielarski z Wołkowa, Wanda Uranowicz z Podhajec, Celestyn Szczepański z Bełza, N. Stefaniuk z Uhrynowa, Wanda Sieczyńska z Przemyśla, Alina Saubra-Kahane, Felicya Wiśniewska z Osieka, J. Wróbel z Sędziszowa, L. Makulski z Husiatyna, Gutowski z Nadbrzeża, L. Bieder z Uwsia, Ewa Krzeczunowicz z Zalesia, J. Ligęzianka z Gołąbkowic, Marya Hahnówna z Werchraty, Józef Reichert z Dolinian, Sabina Krzyształowicz z Wełdzirza, J. Jendlowa z Grybowa, Karol Schirl z Czerniowiec, E. Królikowska z Grabownicy, G. Zielińskiz Manajowa, Jakób i Rozalia Goldberg z Brzeżan, Marya Machniewiczowa z Krakowa, Antoniowa Krzyczkowska z Hukałowic, Marya Leinerówna ze Stanisławowa, Stanisława Michalewska ze Stryja, Józefa Karczówna z Ickan, Kazimierz Pieńczykowski ze Strychaniec, L. Kozłowski z Niewistki, Alojzy Ormezowski ze Skoryk, zaś ze Lwowa: Ewelina Mejbaum, Kazimiera Bartl, Aniela Luderowska, Józefa Pogorska, F. Bock, L. Bełzka, Romana Terlecka, P. Czyżyk, Karolina Herzmankówna, Wanda Płachecka, Marya Zubrzycka, Marya Starzewska, Kazimiera Krzywobłocka, Ludwik Negedlo, Jadwiga Ząbecka, Helena Tyczkowa, Czesław Tucki, Stefania Ilnicka, A. Jaworska, Olga Polińska.

Z teatru. Dziś w sobotę „Montjoye“, komedya w 5 aktach Oktawiusza Feuilleta. Jutro w niedzielę „Zbójcy“, tragedya w 5 aktach Fryderyka Schillera z p. Zelazowskim w roli Franciszka, p. Woleńskim w roli Karola. W roli Amalii wystąpi panna Helena Marton, w roli Rollera p. Jan Nowacki, artysta teatru poznańskiego. W poniedziałek nie będzie przedstawienia. We wtorek „Wojna podczas pokoju“, komedya w 5 aktach J. Mozera i Fr. Schöntbana. We środę po raz drugi „Lolo“ (Bébé), komedya w 3 aktach Hennequina i Najaca. We czwartek (wznowienie) „Spirytyści“, komedya w 4 aktach Gustawa Mozera. W piątek nie będzie przedstawienia W sobotę (wznowienie) „Niech jedzie na wieś“, komedya w 3 aktach Bayarda i Juliana Vaiely.

Literatura i sztuka.

* **Komedye... pedagogiczne.** Mamy przed sobą ładnie oprawną i starannie wydaną książeczkę p. t. „Teatr dla dzieci“, przez Karolinę Szaniawską (Warszawa, nakład księgarni Centnerszwer 1896 roku).

W książce tej, o 235 stronicach, mieści się sześć komedyjek jednoaktowych przeznaczonych do teatrów amatorskich dla dzieci i poprzedzonych przedmową zachęcającą do urządzania dziecinnych teatrów amatorskich, gdyż według zapewnień autorki teatr taki „jest jedną z najmilszych, a zarazem i pożytecznych rozrywek dla dzieci Uznana to rzecz, nie ma potrzeby rozwodzić się szeroko nad pedagogiczną wartością tej szlachetnej zabawy“. Tak twierdzi szanowna autorka.

Ciekawibyśmy wiedzieć zaprawdę na jakie to powagi pedagogiczne powołaćby się mogła autorka wygłaszając zdanie wyżej przytoczone, jako pewnik nieulegający najmniejszej dyskusyi. Nie słyszeliśmy bowiem dotąd o żadnym z pedagogów, któryby zaliczał teatr amatorski dla dzieci do rzędu czynników wychowawczych, lub też chociażby pożytecznych rozrywek. Przeciwnie, zdaje się nam, że powołanie do życia teatrów amatorskich dla dzieci, jest projektem chybionym, a nawet szkodliwym, z wielu względów. Przedewszystkiem odrywanie dziatwy od rozrywek jej wiekowi właściwych, w których znajdują dużo ruchu, powietrza, a zarazem możność rozwijania sił młodocianych, a zaprzęganie ich do odbywania nudnych i uciążliwych zazwyczaj prób nie może być uważane za postępowanie pedagogiczne i dla dziatwy pożyteczne. Pod względem zaś wychowawczym teatr amatorski w żadnym razie nie może być oceniany jako czynnik dodatni, wyradza on bowiem w dzieciach przedwczesne zamiłowanie do zwracania na siebie uwagi, przesadną manierę, próżność, pozowanie i udawanie starszych przez śmieszne ich naśladownictwo, słowem, pozbawia je naturalności i swobody dziecięcej, będącej krasą młodocianego wieku.

Te „kwaśne owoce“ komedyi pedagogicznej przewyższają znacznie pożytek, jaki mógłby być osiągnięty z nikłego zwykle morału, zawartego w rozwiązaniu sztuki.

Teatra amatorskie mogłyby być tolerowane jedynie wśród młodzieży starszej pod niezbędnym warunkiem starannego nader wyboru sztuk, przeznaczonych do odegrania, które należy czerpać jedynie z arcydzieł literatury klasycznej, odtwarzającej postacie bohaterów historycznych, mogące zapalić fantazyę młodzieńczą i uszlachetnić charakter.

Na granie zaś sztuczek błahych jedynie dla zabawy i popisu, szkoda czasu!... Dlatego też i my nie będziemy oceniali poszczególnie wartości literackiej i dramatycznej komedyjek p. Szaniawskiej, w których znać nawet talent i werwę sceniczną; szkoda przeto, że nie są zużytkowane w innym kierunku, a mianowicie w utworze sztuki teatralnej — dla starszych. Byłby z tego jakiś może lepszy pożytek, aniżeli z komedyjek dziecinnych, którą to pracę uważamy za chybioną.

Jeszcze jedno: w utworach przeznaczonych dla dzieci należy się wystrzegać kaleczenia mowy i czystości języka, przez wprowadzenie żargonu wielce niesmacznego, jak to naprzykład znajdujemy w roli Icka (komedyjka „Córka króla Cwioczka“), który mówi: Ta panienka ma troche feler, a ferikte miszygone pałke es felt di klepkie... ist fon di Tworkies antlojfen. A mame sucht a tate sucht a gance miszpoche sucht a Doktores suchen, alles suchen itd. Co to jest?... ośmielamy się zapytać.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 30 lipca.

(Z.) Wczoraj rozeszła się na giełdach pogłoska, że Turcya, nie mogąc w żaden inny sposób sobie poradzić, zamierza wypuścić pieniądze papierowe. Wiadomość ta zaniepokoiła do reszty posiadaczy papierów tureckich i bylibyśmy dziś znów świadkami dalszej paniki w walorach tureckich, gdyby nie interwencya potężnych domów bankowych paryskich, które zakupnami walorów tureckich powstrzymały dalszy ich spadek. Co więcej, nie tylko przestały one spadać, ale nawet uzyskały znaczną zwyżkę. W Paryżu bowiem rozpowiadano, że Turcya stara się o nową pożyczkę i już tak jakby ją otrzymała. Pogłosce o zamiarze wypuszczenia papierowych pieniędzy zaprzeczono jak najkategoryczniej. Podziałało to korzystnie także na inne giełdy, to też tej zmianie stanowiska, zajętego przez targi pieniężne, zawdzięczamy, że obroty dzisiejsze zamknęliśmy zwyżką.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 360·50, węgierskie 386·—, Anglobanki 155·25, Uniony 288·—, Bankvereiny 264·75, Länderbanki 250·50, Ludwiki 218·75, Czerniowieckie 288·—, Elbethale 274·50, Renta papierowa 101·50, srebrna 101·65, austryacka złota 123·65. austr. renta wal. kor. 101·20, węgierska złota 122·55, węgierska renta wal. kor. 99·50. dukat 5·64 20-frankówka 9·51—, marki 11·73. ruble 1·26½.

§ **Zbiór jęczmienia.** Ze sprawozdań o dotychczasowym stanie zbiorów w monarchii okazuje się, że tegoroczny zbiór jęczmienia nie będzie tak świetny, jak się tego spodziewano. Skutkiem częstych deszczów ucierpiało bowiem ziarno wiele na kolorze, tak, że tylko w północnych Węgrzech i na Morawie ziarno jęczmienia jest białe.

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.** Kraków 31go lipca.

Na dzisiejszym targu na Kleparzu prawie żadnych nie było obrotów, gdyż zapasy starego zboża są wyczerpane, a z nowego pojawiło się zaledwie parę drobnych partyi żyta. Skutkiem tego ceny do tychczasowe utrzymały się, pozostały jednak nominalne

Płacono: pszenicę białą 7·10 do 7·50, czerwoną 7·10 do 7·40, żółtą 7·10 do 7·40, żyto 6·— do 6·50, jęczmień browarny 0.— do 0·—, na paszę 5·— do 5.10, owies 5·90 do 6·—, wykę —.— do —·—, rzepak nowy 0.— do 0.—, konicz czerwony do — zł., biały — do —, żyto nowe 6 00—6 15. Wszystko za 100 kilogramów.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

§ **Z kolei.** Południowo-niemiecko austro-węgierski związek kolejowy Z dniem 1 sierpnia b. r. wejdzie w życie dodatek III do taryfy wyjątkowej z 1 marca 1893 dla przewozu jaj itp.

Północno-niemiecko-galicyjsko-południowo-zachodnio-rosyjski ruch graniczny. Z dniem 1 września 1896 wejście w życie nowa taryfa, część II. zeszyt 1, dla wyż wspomnianego ruchu.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 1 sierpnia. Dzisiejsza *Wiener Zeitung* ogłasza ustawę z 2 lipca 1896 znoszącą premie za wykrycie przekroczeń skarbowych, tudzież ustawę z 8 lipca 1896 otwierającą rządowi kredyty dodatkowe ponad preliminarz r. 1896.

Berlin 1 sierpnia. *Reichsanzeiger* donosi, że onegdaj francuski attaché wojskowy złożył cesarzowi Wilhelmowi wizytę w Kilonii na pokładzie jachtu „Hohenzollern“ i z polecenia prezydenta republiki p. Faure'a wyraził mu kondolencyę z powodu zatonięcia okrętu „Iltis“ na wodach chińskich.

Frankfurt 1 sierpnia. Z Petersburga donoszą do *Frankfurter Zeitung*, że pancerniki rosyjskie „Navarin“ i „Aleksander II“ otrzymały rozkaz odpłynięcia na wybrzeża Krety.

Pięciokościoły 1 sierpnia. Z umieszczonych w szpitalu czterdziestu kilku osób, rannych podczas pożaru w sklepie Koeszla, sześć znajduje się jeszcze w niebezpieczeństwie życia. Burmistrz ma się lepiej. Wczoraj odbyła się obdukcya trupów.

Satoralja Ujhely 1 sierpnia. W miejscowości Kiraly Haimecz wybuchł wczoraj wielki pożar i obrócił w perzynę trzydzieści domów. Pożar podłożony został zbrodniczą ręką, co okazuje się stąd, że wybuchł równocześnie na dwóch przeciwległych punktach. Między ludnością panuje wielka panika, gdyż ostatnimi dniami mieszkańcy otrzymywali mnóstwo listów z pogróżkami.

Londyn 1 sierpnia. W izbie niższej oświadczył sekretarz stanu White-Ridley, że Jamesona i zasądzonych wraz z nim uczestników wyprawy na Transwaal polecił do łaski królewskiej o tyle, aby w więzieniu traktowani byli jako aresztanci pierwszej klasy.

Ateny 1 sierpnia. Prasa grecka uderza namiętnie na Portę za jej ostatnią notę do mocarstw, w której ona czyni Grecyę odpowiedzialną za rozruchy na Krecie i w Macedonii.

Rząd grecki wyda ze swej strony notę, w której oświadczy, że nie przyjmuje na siebie żadnej odpowiedzialności i wykaże, iż właśnie starał się usilnie o pacyfikacyę Krety.

Paryż 2 sierpnia. Większa część dzienników donosi, że car przybędzie na pewno do Francyi i wyląduje prawdopodobnie 15 września w Brest, albo w Cherbourgu i będzie na paradzie wojskowej w Angoulême. Dotychczas nie wiadomo atoli, czy przybędzie także do Paryża.

Kolonia 1 sierpnia. Do *Kölnische Zeitung* donoszą z Berlina, że wywody *Times*'a niechętne poruszeniu myśli blokady wybrzeży Krety i zabarwione pewnym sceptycyzmem co do skuteczności zgodnej akcyi mocarstw europejskich w sprawie Krety, odźwierciedlają, jak się zdaje, poglądy gabinetu angielskiego.

Dotychczasowa zgodność wszystkich mocarstw w sprawie kreteńskiej odbierała jej znaczną część jej niebezpiecznego charakteru; w chwili jednak, w której te solidarność byłaby złamana przez odosobnienie się Anglii, — a można przypuszczać, że to się stało — wytworzyłaby się nowa sytuacya, której dalszego rozwoju na razie nawet przewidzieć nie można

odlewów pieczęci i portretów, wreszcie wypukłej reprodukcyi zamku Budy, wystawa nie zawiera zabytków, któreby wyobrażały dokładnie świetność okresu króla Macieja.

Jeszcze mniej zabytków przechowało się z czasów panowania dwóch Jagiellończyków Władysława i Ludwika (1490 – 1526). Zawierucha najazdów tureckich i walk domowych zniweczyła najwięcej pomników tego ostatniego okresu, i okryła go pewnym cieniem Rzecz ciekawa, że tak dziejopisowie czescy (Palacky), jak węgierscy, panowanie dwóch Jagiellończyków uważają jako szkodliwe dla swego kraju. Wprawdzie, naszem, zdaniem polityka zachodnia dynastyi jagiellońskiej była błędną, rozdrabniała siły Polski i odwracała je od głównego celu zabezpieczenia wschodnich granic państwa. Nie tylko, że związki z Czechami i Węgrami nie przyniosły Polsce żadnych korzyści materyalnych, ani nawet powrotu odstąpionego Janowi czeskiemu w r. 1335 przez Kazimierza W. Szląska, ale nadto zacne zamiary Jagiellończyków nie doczekały się należytego uznania historyografii węgierskiej i czeskiej Rzeczywiście pod koniec 15 go i na początku 16-go stulecia, w Węgrzech i Czechach panowała taka anarchia, taka wyuzdana swawola i chciwość oligarchii, i taka wzajemna niechęć dwóch połączonych osobą wspólnego monarchy narodów, że nawet nadzwyczajne zdolności królów nie byłyby odwróciły zguby, a Władysław był człowiekiem słabym i gnuśnym Ludwik zaś wstąpił na tron r. 1516 w dziesiątym roku życia To też magnaci czescy jeszcze zuchwalej, niż wobec ojca, odzywali się do Ludwika: „Jesteś naszym królem, my jesteśmy twoimi panami“ *)

W portretowej sali rycerskiej (VI) gmachu gotyckiego znajduje się kilka dokumentów z czasów panowania dwóch Jagiellończyków, zwłaszcza ważny, przechowywany w wiedeńskiem archiwie dworskim kontrakt małżeństwa pomiędzy dziećmi Władysława II a wnukami cesarza Maksymiliana, różne przywileje i listy Tragiczne wrażenie sprawiają listy króla Ludwika do magnatów, wzywające do śpiesznego sprowadzenia wojsk przeciwko Turkom. Ostatni z tych listów błagalnych z 25 sierpnia 1526, a zatem wysłany krótko przed bitwą, nieszczęśliwy młody król zaopatrzył przypiskiem: „*cito, cito, cito!*“ Wobec intryg i rywalizacyi fakcyi wszelkie nawoływania były daremne. Zapolya, stojący pod Szegedynem, umyślnie ociągał się, w Czechach potężny magnat hr. Rosenberk umiał ciągle odraczać zebranie się sejmu, bez którego przyzwolenia wojsko nie mogło wyruszyć na pomoc swemu królowi. Z garstką dwudziestu tysięcy żołnierzy. Ludwik stanął przeciwko 100.000-nej armii Sulejmana. Właściwie tylko duchowieństwo spełniło swój obowiązek. Arcybiskup Kolocenu (Kalozza) Tomory, za młodu wojownik, stanął na czele wojska, prymas Zalka, biskup Zagrzebia Erdoedy i kilka innych biskupów, którzy wszyscy polegli w bitwie pod Mohaczem, przywiedli znaczniejsze oddziały zbrojne, nuncyusz sprowadził 4000 żołnierzy, zwerbowanych w Polsce i na Morawii. W takich warunkach walna bitwa 29 sierpnia musiała stać się po prostu rzezią wojska chrześcijańskiego, a zaiste naród, który w stanowczej chwili nie zdobył się na odpowiednie wysiłki, nie miał żadnego prawa składać winy na nieszczęśliwego, 20-letniego króla, który poległ w bohaterskiej walce.

Obraz bitwy pod Mohaczem przedstawia kopia z dzieła współczesnego dziejopisarza tureckiego Dzelalzada (Nr. 534). Jest także kilka portretów Ludwika II, mianowicie miedzioryt z r. 1526 z bogatych zbiorów hr. Aleksandra Apponiego (Nr. 536) i odlew z popiersia króla na monecie tegoż roku (Nr. 533). Żelazne, przyozdobione złotemi kwiatami uzbrojenie młodego króla z wiedeńskich zbiorów cesarskich (Nr. 721) szczupłością świadczy o drobnej tuszy, zaledwo przechodzącego w stan młodzieńca Ludwika. Trudno z tych wszystkich ponurych reminiscencyi wyprowadzić inny wniosek, jak ten, że wtedy potrzeba było silnej ręki, a zwłaszcza zabezpieczenia tronu od ambitnych pożądliwości, aby powoli wyzwolić Węgry z pod jarzma tureckiego i przygotować odrodzenie kraju.

Uwagi nasze o galeryi obrazów węgierskich wymagają dopełnienia wzmianką o wystawie obrazów chorwackich. Jest ich tylko 115, umieszczonych w gustownie przystrojonym pawiloniku Z pomiędzy młodszych mistrzów chorwackich płodnością i zdolnością celuje Vlaho Bukowac, urodzony r. 1855 w Dalmacyi, uczeń Cabanela i obdarzony już medalami w salonie paryskim. Wystawił on aż 35 płócien, pomiędzy niemi dobry portret Cesarza w czerwonym mundurze jeneralskim, portret biskupa Strossmajera, bardzo ładny obraz dzieci barona Vraniczanego i barona Pongracza, trochę chłodny szkic zasłony nowego teatru zagrzebskiego, niefortunny obraz dziatwy szkolnej, czekającej w ulicy Zagrzebia na wjazd Cesarza, wreszcie wielki obraz najsławniejszego poety serbskiego Gundulicza, rozmyślającego nad planem swej „Osmalidy“. Twarzą i pozą przypominający znane portrety Schillera, Gundulicz w fantastycznym fioletowo-aksamitnym stroju spoczywa na skale, nad morzem. Za nim stoją muzy natchnienia, przed nim z fal wynurzają się rusałki, w dali za chmurą kurzu wre walka z Turkami. Jest to utwor alegoryczno-konwencyonalny, w szczegółach bardzo dobry, ale jako całość chybiony.

Urodzony także w Dalmacyi, wykształcony w Rzymie i Monachium Celestyn Medowicz, wystawił dwa wielkie obrazy świętą Bachusa w czasie prześladowań chrześcijan w Rzymie i czterech męczenników z Syrmii, wzbraniających się składać ofiarę Bachusowi. Są to obrazy wykończone poprawnie, świadczące o dokładnej znajomości nowoczesnej techniki malarskiej, ale nieprzemawiające do serca. Kto widział „Pochodnie Nerona“, nie zatrzyma się dłużej przed obrazami p. Medowicza.

Ładne obrazki rodzajowe: „Pasterka gęsi“, „Idylla wiosenna“, „Dziewczę w ogrodzie“ itd. wystawił Mikołaj Maszic, urodzony 1852 roku w Otoczacu, uczeń paryskiego mistrza Bouguereau'a, co zresztą na pierwszy rzut oka poznać po czarującej twarzyczce panienki, leżącej w trawie („Idylla wiosenna“).

Także Franciszek Pawacic, urodzony w Riece, wykształcony w Rzymie, kilku pejsażami i obrazami rodzajowymi (zachód słońca, Starzec z wyspy Capri, plac w Rzymie itd.) dowiódł rzeczywistego talentu. W ogóle opuszczamy tę salę z wrażeniem, że malarstwu w Chorwacyi można wróżyć piękną przyszłość.

O pracowitości w przeszłości świadczą liczne, wystawione w drugiej sali stare rękopisy i średniowieczne kodeksa w cyrylicy i głagolicy, drogie naczynie kościelne, ciekawe odlewy zabytków architektonicznych i rzeźbiarskich itd.

E L.

*) Porównać: A Huber „Geschichte Oesterreich“, Getha 1888, tom III, str. 515.

HOTEL ZORZA
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 31 lipca. E. Dobrzyńska z Krakowa. E. Schmidtowa z Tarnopola. C. i St. Sozańscy z Kornalowic. J. Borowski z Drohomyśla. C. Świerzawski z Polski. J. Rakowski z Hermanowic. J. Obertyński z Odnowa. J. Horodyski z Horodnicy. J. Schmidt z Masłowa. J. Cielecki z Byczkowiec. M. Orpiszewski z Krosna. Dr. M. Rosenstock z Skałatu. M. Brykczyński z Pacykowa. J. Sztaja z Litwy. A. Fränzel z Görlitz

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 1 sierpnia (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 213.50 do [illegible], Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 288.— do 291.50. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 338.— do 400·—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. a 10 proc. prem. 110.10 do 110.80, 4 i pół proc. łos. w 50 lat. 99.80 do 100.50. 4 proc. los w 60 lat. 96.60 do 97. 0 Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 100.50 do 101.20. Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97.50 do 98.20. Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I. emisya) 98.10 do 98.80 4 proc. los w 42 i pół latach 97.70 do 98.40. 4 proc. los w 56 lat. 97.50 do 98.20.

Wiedeń 31 lipca. Notowania wieczorne. Kredyty 361·87, węgierskie kredyty 387·50 anglobank 155·50 bankverein 266.00 unionbank 284·00. laenderbank 251·25 staatsbahny [illegible] lombardy 102·50, elbethale 274·50, akcye tytoniowe 156.00 rima 237.00 alpiny 79.75 renta majowa 101.60, węg renta złota —.— austr. renta koronna —.—, losy tureckie 50·40 węg. renta koronna 99·55 marki 58.72 ruble 126·25.

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Drukarnia par. St. Maniecki i Spółka (Hotel Zorżs). Zarządca W. Bodek